

Jak rycerz na białym koniu

PIOTR BECZAŁA | Śpiewak opowiada Jackowi Marczyńskiemu, dlaczego zdecydował się uratować „Lohengrina” w Bayreuth.

✎: Czy festiwal w Bayreuth to tak prestiżowe impreza, że zrezygnował pan z wcześniejszych planów, czy zadecydowały inne względy?

PIOTR BECZAŁA: Inne, artystyczne. Oczywiście ten festiwal ma ogromny prestiż, coroczna premiera na otwarcie to wydarzenie wielkiej rangi nie tylko dla Niemców. Najważniejsza dla mnie była jednak pewna konstelacja artystyczna: tytułowa rola Lohengrina w tej premierze, dyrygent Christian Thielemann, znakomici partnerzy: Anja Harteros, Waltraud Meier, Tomasz Konieczny. Taka kombinacja może zdarzyć się raz w życiu, więc trzeba ją traktować bardzo poważnie.

Pan zaplanował sobie pracowite wakacje w tym roku.

Wyjątkowo pracowite. Zwykle staram się latem występować przede wszystkim w jednym miejscu, na jakimś festiwalu, a w tym sezonie miałem śpiewać od Grenady po amerykańskie Tanglewood, od Monachium po Sopot. Teraz większość propozycji muszę przesunąć na inny termin albo wręcz z nich zrezygnować.

Rozmowy o pana udziale w festiwalu w Bayreuth toczyły się jednak od paru lat. Nie był więc pan chyba zaskoczony tym zaproszeniem.

Moja obecność w Bayreuth ma różne aspekty i nie mam ochoty ich zgłębiać. Trzy lata temu byłem tu kilka dni, pracowałem z Christianem Thielemannem pod kątem tegorocznej premiery „Lohengrina”. Niby wszystko zostało dogadane, jednak sprawa się rozmyśla, chyba raczej z powodów

pozamuzycznych. Nie dochodzę, bo nigdy nie pojawiając się tam, gdzie mnie nie chcą. Ta zasada dobrze się sprawdza w karierze. A teraz nie jestem zbyt zaskoczony, że mój poprzednik Roberto Alagna zrezygnował. Dobrze znam rolę Lohengrina, wiem, jak jest ogromna i trudna. Nie byłem też zdziwiony, gdy przed dwoma tygodniami Christian zadzwonił do mnie, bardzo naciskając, żebym rzucił wszystko i przyjechał do Bayreuth.

Da się z marszu wskoczyć w kostium Lohengrina po dwóch latach od pana występu w tej operze Wagnera?

Początkowo byłem nastawiony sceptycznie. Musiałem oczywiście sprawdzić, co pamiętam z tej roli, tekstowo i muzycznie. Po niespełna dwóch dniach rozmaitych rozmów, dyskusji, negocjacji uznałem, że ze względów artystycznych trzeba propozycję przyjąć.

Istniała jeszcze jedna pułapka. Przed podpisaniem kontraktu lubi pan poznać reżysera i założenia inscenizacji. Tym razem nie było takiej możliwości, a w Bayreuth zdarzają się spektakle mocno kontrowersyjne.

Christian Thielemann od razu wysłał mi więc kilka zdjęć scenografii, wyglądała bardzo ciekawie. Poza tym poprzedni „Lohengrin” był tu niesłychanie współczesny z ludźmi-szczurami, zatem podejrzewałem, że kolejna nie powinna być równie nowoczesna. Nie miałem jednak czasu, by to dogłębnie analizować.

I tak oto w jednym spektaklu zadebiutuje w Bayreuth aż

dwóch Polaków. Pana partnerem w roli czarnego charakteru, Telramunda, będzie Tomasz Konieczny.

Festiwal funkcjonuje od 1876 roku, a nigdy dotąd polscy śpiewacy nie występowali tu w głównych rolach. Cóż więcej można dodać.

Do Bayreuth nie da się natomiast przyjechać w ostatniej chwili, zaśpiewać i pojechać dalej. Tu obowiązują inne zasady.

Znam teatry, w których przygotowania do premiery trwają dłużej niż w Bayreuth, natomiast tu pracuje się niesamowicie intensywnie. Próby zaczynają się o godzinie jedenastej i potrafią trwać do dwudziestej. Śpiewać Wagnera przez tyle czasu to naprawdę niesamowity wyczyn wokalny, wręcz sportowy. Na dodatek sytuacja jest wyjątkowa, Roberto Alagna zrezygnował z roli trzy tygodnie przed premierą, zresztą nie pojawiając się w ogóle na próbach. Byłem przekonany, że wejdę w niemal gotowy spektakl. Tymczasem najbardziej zaawansowany w pracę był Tomasz Konieczny, inni wykonawcy docierali później. Próbujemy więc w sposób niespotykany, od paru dni od razu z orkiestrą, w kostiumach i w dekoracjach. Trochę szukamy się nawzajem po scenie, ale idzie nam naprawdę dobrze.

Czuje się pan w Bayreuth dobrze?

Przyjechałem tu trochę jak wybawca, jak rycerz na białym koniu. Wszyscy byli szczęśliwi, że się pojawiłem i że to ja zaśpiewam w tym spektaklu. Mam tu dużo



♦ Piotr Beczała jako Lohengrin w spektaklu Semperoper w Dreźnie, 2016 r.

znajomych z różnych teatrów, nie tylko wśród solistów, także w orkiestrze, w chórze. Szybko zintegrowałem się też z teamem produkcyjnym.

Czy teatr w Bayreuth ma rzeczywiście niezwykłą akustykę?

Absolutnie tak. Jest fenomenalna. Jeśli miałbym snuć jakieś porównania, to może z Metropolitan w Nowym Jorku.

W europejskiej prasie pojawiły się wiosną informacje, że i tak pan miał wystąpić w Bayreuth, ale w 2019 roku.

Razem z Anną Netrebko podpisaliśmy kontrakt na dwa tak zwane galowe spektakle. Kiedy upadła sprawa naszego udziału w tegorocznej premierze, Christian Thielemann zaczął

rozmawiać o 2019 roku. Tylko jednak dwa terminy okazały się dla nas wszystkich dogodne. Za rok do końca lipca występuję w Barcelonie w „Luisie Miller”, a potem mam dwa koncertowe wykonania tej opery w Salzburgu razem z Placidem Domingiem.

Przyszły sezon będzie więc też tak pracowity?

Bardzo. Szykuje się na przykład bardzo ważna sylwestrowa produkcja w Metropolitan w Nowym Jorku: „Adriana Lecouvreur” także z Anią Netrebko. Będzie mój debiut w roli Cavaradossiego w „Tosce” w Staatsoper w Wiedniu, a poza tym muszę mieć czas na przygotowanie nowej roli, Jontka w „Halce”. Dojdą też rozmaite koncerty i recitale.

Czy po Bayreuth będzie pan miał więc jakiegokolwiek wakacje?

Na razie zupełnie o tym nie myślę. Przecież jadę jeszcze do Polski na festiwal Sopot Classic. Dyrektor Wojciech Rajski przesunął teraz o jeden dzień wcześniej datę mojego koncertu, bym mógł wystąpić. Na przełomie lipca i sierpnia miałem nagrywać nową płytę, muszę znaleźć nowy termin. Po premierze będę wszystko spokojnie układał, może uda się znaleźć trochę czasu i na urlop. ☺

RZECZPOSPOLITA

PISALIŚMY O TYM:

Piotr Beczała i Tomasz Konieczny w „Lohengrinie” w Semperoper „Triumf pięknego śpiewu” 27 maja 2016 r.

archiwum.rp.pl